

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/sport/96513,Rekordzista-z-Solidarnosci.html>



ARTYKUŁ

Rekordzista z Solidarności

OKRES HISTORYCZNY

(1980-1990) Epoka Solidarności

Autor: KAMIL DWORACZEK 10.11.2022

Od wielkich sukcesów sportowych przez alkoholizm i ciężką chorobę aż do odnalezienia samego siebie w działalności opozycyjnej – tak w kilku słowach można by streścić biografię Marka Petruszewicza. Ta pełna wzlotów i upadków historia to przykład zmagania się z przeciwnościami losu w ponurej peerelowskiej rzeczywistości.

„Pracuje 24 godziny na dobę, jest niespożyty. Uczestniczy w pracach wielu sekcji. Ofiarny i oddany całym sercem idei związku. Z poświęceniem jeździ po terenie, gasząc strajki, które wybuchają w zakładach pracy. [...] nie może spokojnie usiedzieć w jednym miejscu. Podczas wieców wspaniale kieruje tłumem, doskonale przemawia. Ma wszelkie cechy dobrego mówcy i trybuna ludowego. Z zapałem pomaga ludziom, umie z nimi rozmawiać. [...] A spraw, które trzeba załatwić, jest sporo.”

- tak zaangażowanie w Solidarność Marka Petrusewicza - pierwszego polskiego rekordzisty świata w pływaniu stylem klasycznym - opisywał Piotr Bednarz, jeden z liderów dolnośląskiej Solidarności (cyt. za: Wojciech Wiesner, Jaki był Marek Petrusewicz).

Pływak zaangażował się w działalność niezależnych od władzy związków zawodowych od chwili ich powstania w 1980 roku. Chciał w ten sposób jawnie przeciwstawić się systemowi komunistycznemu. Od jesieni działał w Międzyzakładowym Komitecie Założycielskim we Wrocławiu.

Latem 1981 roku wszedł do Prezydium Zarządu Regionu Dolny Śląsk NSZZ „Solidarność”, gdzie był odpowiedzialny za Dział Warunków Pracy, Bytu i Ochrony Zdrowia, miał więc zadanie bardzo trudne. Solidarność była na pewno ważnym etapem w jego życiu, nadawała mu sens, pozwalała zepchnąć osobiste problemy i trudności na dalszy plan, dawała w końcu nadzieję na polepszenie losu nie tylko własnego, ale i milionów Polaków.



**Marek Petrusewicz (Fot. PAP/
CAF/ Stanisław Dąbrowiecki; za:
Pamięć.pl 12/2014)**

Rekord za rekordem

Petrusewicz miał w Solidarności mocną pozycję – dzięki własnej pracy, ale też dlatego, że był znany jako wybitny sportowiec. Jego pływacka kariera rozpoczęła się w dość nietypowy sposób – od wagarów.

„Wstyd się przyznawać, ale od czasu do czasu chodziliśmy z kolegami na wagary. Ponieważ nie zawsze było tak ciepło, że można było te wagary spędzać na dworze, więc wynaleźliśmy sobie basen.”

– wspominał Petrusewicz. W 1948 roku jego oraz kilku kolegów zauważyli trenerzy i zaproponowali wstąpienie do sekcji pływackiej.

Pływak zaangażował się w działalność niezależnych od władzy związków zawodowych od chwili ich powstania w 1980 roku. Chciał w ten sposób jawnie przeciwstawić się systemowi komunistycznemu.

Sukcesy przyszły bardzo szybko, już w 1950 roku na koncie młodych zawodników były rekordy okręgu dolnośląskiego, a niebawem powołanie do kadry narodowej. Było to zarazem apogeum stalinizmu w obozie państw socjalistycznych. Sportowcy uczestniczyli w różnych zawodach i mitingach z okazji urodzin Bolesława Bieruta czy rocznicy rewolucji październikowej.

Już wtedy w Marku Petrusewiczu budziła się natura buntownika: krytykował i wyśmiewał ówczesne rytuały. Polityka powoli więc wkraczała w życie młodego pływaka. Sportowcy musieli też – podobnie jak inne grupy zawodowe – podejmować zobowiązania i wypełniać je zgodnie z założonym planem. Trener Petrusewicza wspominał przed laty w wypowiedzi dla Polskiego Radia:

„Na 1 maja zwykle jakieś zobowiązania były i w Okręgowym Związku Pływackim sekretarz powiada: »No, panowie, zobowiązania!«. Ponieważ mnie zdopingowali, to mówię: »Dobrze panowie, żeby nie mieli pretensji«. Powiedziałem: »rekord świata na 100 metrów, Marek będzie bił sam jeden! Sam!«. Źle zrobiłem, trzeba było poczekać z pół roku z tym rekordem. Mogłem go przytrzymać, bo on wtedy jeszcze nie dorósł”.

W rezultacie 18 października 1953 roku pływak stanął na słupku startowym basenu Miejskich Zakładów Kąpielowych przy ul. Teatralnej we Wrocławiu. Nie wszyscy kibice zmieścili się w środku, część z nich musiała zadowolić się oczekiwaniem na wynik przed budynkiem. Doping był ogłuszający i „wierzący w uszach jak świdrem”, jak pisał dziennikarz „Słowa Polskiego”. Petruszewicz płynął samotnie, by inni pływacy nie wzbudzali wody, a tym samym nie utrudniali pobicia rekordu. Najsilniejszą stroną młodego sportowca było pływanie pod wodą, co jeszcze wtedy dopuszczano w stylu klasycznym. To umożliwiło Petruszewiczowi uzyskanie czasu 1:10,9 i pobicie rekordu na 100 m. Tym samym został pierwszym Polakiem, któremu udało się osiągnąć taki sukces w pływaniu. Dodatkowym smaczkiem było to, że rekord został odebrany Rosjaninowi...

Po tym sukcesie Petruszewicz postanowił pójść za ciosem i zaatakować kolejny rekord, tym razem na dystansie dwukrotnie dłuższym. Udało się częściowo – wyrównał dotychczasowy rekord (2:37,4). W maju 1954 roku poprawił jeszcze swój rekord na 100 m, ustanawiając czas 1:09,8. To był szczyt jego kariery.

Upadek

Wkrótce nacisk trenera na pośpiech w biciu kolejnych rekordów zaczął się mścić. Petruszewicz stał się bardzo popularny, rozpoznawano go na ulicy, niemal codziennie udzielał wywiadów, film o nim pokazano w Polskiej Kronice Filmowej. Ciężar sławy był ogromny, trudny do udźwignięcia dla dwudziestoletniego chłopaka. Petruszewicz nigdy nie był wzorowym uczniem, ale jego problemy z nauką stały się jeszcze większe. Do tego dochodziły imprezy zbyt obficie zakrapiane alkoholem. Wszystko spowodowało, że działacze sportowi zdecydowali się zawiesić działalność młodej gwiazdy na pół roku. Zbliżały się jednak mistrzostwa Europy w Turynie (1954), a Petruszewicz był gwarantem sukcesu. Sportowiec został odwieszony i mimo nieregularnych treningów zdołał wywalczyć srebrny medal. Znowu nazwisko utalentowanego wrocławianina pojawiło się na pierwszych stronach gazet. Reportera „Expressu Wieczornego” zapewniał: „Moim celem jest złoty medal w Melbourne”.



Marek Petruszewicz u szczytu popularności

Na igrzyska olimpijskie w 1956 roku jednak nie pojechał. Jak pisały gazety, formę roztrwonił w miejscach niemających nic wspólnego ze sportem. W rezultacie nie osiągnął nawet minimum olimpijskiego. Wojciech Wiesner podkreśla we wspomnianej biografii:

„Szkoda. Znając umiejętności mobilizacji Marka do wielkich prób, można się było spodziewać dobrych rezultatów. A wyniki, jakie ostatnio uzyskiwał na 200 metrów, dawały mu miejsce w finale”

Dodatkowe rozgoryczenie u pływaka wywołał zakaz pływania pod wodą w stylu klasycznym wydany przez międzynarodową federację (FINA). Pozbawiło go to jego najmocniejszego atutu. Na mistrzostwach Polski w 1957 roku był dopiero trzeci na 200 m, a w finale na 100 m został zdyskwalifikowany właśnie za pływanie pod wodą. Gwoździem do trumny kariery pływaka okazały się jednak Zawody Przyjaźni rozegrane w enerdowskim Rostoku w 1958 roku, na które wyjechał wraz ze swoim klubem (wtedy już była nim Arkonia Szczecin). Jak donosił „Głos Szczeciński”, od pierwszych dni pobytu Polacy z Arkonii „skompromitowali się, handlując wódką, masłem, kawą i kakao”.

Petrusewicz skarżył się na treningach na ból palców stóp, ale nikt mu nie wierzył, doszukiwano się w tym raczej pretekstu do złagodzenia treningu. Diagnozę lekarze

postawili w połowie lat sześćdziesiątych.

Najwięcej pisano o wybrykach Petruszewicza, być może dlatego, że był najbardziej rozpoznawalnym i utytułowanym zawodnikiem. Oskarżano go o organizowanie w hotelu alkoholowych libacji, a także o uwiedzenie siedemnastoletniej Niemki (informacje te nie znalazły potwierdzenia w innych źródłach).

Prasa w całym kraju skazała Petruszewicza na infamię, o wybrykach sportowców wspominały nie tylko lokalne dzienniki, lecz także „Przegląd Sportowy”, „Sztandar Młodych” czy „Trybuna Ludu”. Ta ostatnia pisała:

„Słusznego ukarania Petruszewicza, Prokuratora i innych »wyczynowców« Arkonii domaga się nie tylko opinia sportowa Szczecina, ale i całej Polski”.

Działacze sportowi surowo potraktowali Petruszewicza, orzekając wobec niego dożywotnią dyskwalifikację.

Wydawało się, że nie może być gorzej: dyskwalifikacja, problemy z alkoholem, a na dodatek rozpad małżeństwa. Niestety okazało się, że może: u Petruszewicza zdiagnozowano bardzo rzadką chorobę Bürgera (zakrzepowo-zarostowe zapalenie tętnic). Chorzy początkowo narzekają na bóle kończyn i zaburzenia czucia. Petruszewicz skarżył się na treningach na ból palców stóp, ale nikt mu nie wierzył, doszukiwano się w tym raczej pretekstu do złagodzenia treningu. Diagnozę lekarze postawili w połowie lat sześćdziesiątych. Konieczna była amputacja nogi. Utytułowany niegdyś sportowiec nie potrafił się pogodzić z myślą o kalectwie i odkładał ostateczną decyzję. Do szpitala trafił tuż przed Wielkanocą 1967 roku w złym stanie. Mimo to lekarze chcieli przełożyć operację, jeden z nich wspominał:

„Znałem Marka z racji swoich sportowo-dziennikarskich obowiązków. Był postacią wybitną. Powodowany odruchem, zwróciłem się do swego szefa, prof. Czyżewskiego, z prośbą, by tę amputację odłożyć i przeprowadzić ją po świętach”.

Niestety stan pacjenta jeszcze bardziej się pogorszył i konieczna była szybka operacja. Zaczynał się nowy etap w życiu Petruszewicza.

Odrodzenie

Początkowo Petruszewicz był załamany i nie było w tym nic dziwnego: niegdyś przystojny i sławny sportowiec, a teraz inwalida bez perspektyw życiowych. Pomogła mu jednak pasja – pływanie. Na przełomie 1967 i 1968 roku zaczął trenować w sekcji inwalidów. Niedługo później przyszły sukcesy – został mistrzem Polski na dystansie 50 m stylem klasycznym. Zaczynał na nowo układać sobie życie: powtórnie się ożenił, miał stałą pracę, a w 1979 roku ukończył studia prawnicze. Powoli, ale konsekwentnie odbijał się od dna. Pomogła mu też Solidarność, w której znalazł miejsce dla siebie.

Sportowiec przeszedł udar mózgu, co spowodowało paraliż połowy ciała. Mimo to walczył o normalność. Z zaangażowaniem podjął się trudnej rehabilitacji. Przyjaciele, lekarze i rehabilitanci wspominają niesamowitą wolę i siłę charakteru, dzięki którym się nie załamał.

Ten epizod jego działalności przerwało wprowadzenie stanu wojennego. Marek Petruszewicz pisał o swoich przeżyciach z pierwszych jego dni w drugoobiegowym tekście Wojna. Sportowiec przedostał się do Zajezdni Autobusowej nr VII MPK przy ul. Grabiszyńskiej we Wrocławiu, gdzie zebrali się członkowie władz związku, którzy – tak jak Petruszewicz – uniknęli zatrzymania. Wśród nich był Władysław Frasyniuk. Na jego prośbę Petruszewicz poszedł do jego rodziców, których poinformował, że syn jest cały i zdrowy.

Następnie pojechał do siedziby Zarządu Regionu przy ul. Mazowieckiej, gdzie próbował ratować związkowy dobytek. Niestety, planu nie udało się zrealizować, lokal został spacyfikowany przez ZOMO:

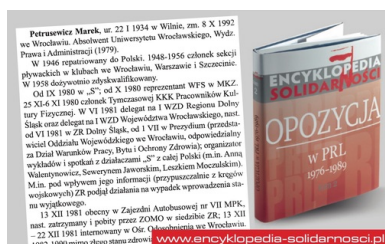
„Przedemną zgrają bezmyślnych wandalów. To, co wyczyniali, przechodziło wszelkie, nie tylko rozsądne granice. A przecież byli to ludzie powołani do strzeżenia prawa, praworządności, społecznego mienia. Pobierali za to wysokie pensje od państwa, z pieniędzy wypracowanych przez robotników, których mienie zamiast zabezpieczać, teraz demolowali w sposób urągający wszelkim cywilizowanym ludom. Tak nie mogli postępować normalni ludzie. Skamieniałe, bez wyrazu twarze i półprzysłowione oczy wskazywały, że przed akcją nakarmiono ich nie tylko słowami.”

To wspomnienie Marka Petrusewicza jest kolejnym świadectwem mogącym wskazywać na podawanie zomowcom środków wzmagających ich agresję. Były sportowiec został przepuszczony przez „ścieżkę zdrowia” i dotkliwie pobity. Wraz z innymi został przewieziony do gmachu Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej.

Został internowany w Zakładzie Karnym we Wrocławiu. Więzienne warunki nie sprzyjały zdrowiu. W przypadku choroby Bürgera jest ważne, by noga nie marzła, a w zimnej celi nie było to łatwe. Choroba zaatakowała drugą nogę. Petrusewicz jakoś wytrzymał dzięki jednemu z internowanych kolegów, który pożyczył mu duże ciepłe buty. Osadzeni z nim koledzy żądali ponadto wypuszczenia chorego na wolność. Udało się to ze względu na pogarszający się stan zdrowia i interwencję bp. Adama Dyczkowskiego. Petrusewicz został zwolniony 22 grudnia 1981 roku. Podjął walkę o uratowanie drugiej nogi. Kosztowało go to trzy lata cierpienia. Nie udało się – amputacji dokonano w listopadzie 1984 roku. Jakby tego było mało, były sportowiec przeszedł wkrótce udar mózgu, co spowodowało paraliż połowy ciała. Mimo to walczył o normalność. Z zaangażowaniem podjął się trudnej rehabilitacji. Przyjaciele, lekarze i rehabilitanci wspominają niesamowitą wolę i siłę charakteru, dzięki którym się nie załamał. Pomagali mu, jak mogli, okazując solidarność.

Marek Petrusewicz był prawdziwym człowiekiem Solidarności, mimo kalectwa i ciężkiej choroby dalej działał: udostępnił Solidarności Walczącej własne mieszkanie na drukarnię. W drugim sam zorganizował punkt kolportażowy i prowadził nasłuch częstotliwości używanych przez Służbę Bezpieczeństwa. Tym samym stał się jedną z osób pracujących w kontrwywiadzie SW, kierowanym przez Jana Pawłowskiego. Komórka ta miała na celu przede wszystkim ochronę działań organizacji przed rozpracowaniem ze strony tajnej policji i robiła to z dużym powodzeniem. Złamała m.in. „fosę”, czyli szyfr używany przez wrocławską SB, i przez długi czas chroniła przed wpadką szefa SW – Kornela Morawieckiego.

Mimo heroicznej walki Petrusewicz przegrał z chorobą – zmarł w 1992 roku. Doczekał się jednak wygrania drugiej wojny, którą prowadził – z systemem komunistycznym. Jeszcze za jego życia zorganizowano trwające do dzisiaj zawody pływackie jego imienia (Puchar, a następnie Memoriał Marka Petrusewicza).



Tekst pochodzi z numeru 12/2014 miesięcznika „Pamięć.pl”

COFNIJ SIĘ